Nr. 12 (1626) Warszawa, 23 marca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Daremne żale, próżny trud!

Te słowa klasycznej już dzisiaj inwokacji Asnyka cisną się ku ustom, na widok rozpaczliwych usiłowań całego obozu wstecznego, aby powstrzymać falę ludu w dawnym, wiekowym łożysku, wpartym między mury kościoła a parkany dworskie.

Duchowieństwo, arystokracja, zacofane ziemiaństwo tudzież znaczna część inteligiencji zawodowej, niewolniczo czepiająca się klas majętnych, wszystkie te żywioły, które dotyczas wyłącznie streszczały w sobie historję polską, sprzymierzyły się zgodnie dla wspólnej walki przeciwko *Zaraniu*, przeciwko ideom, które ono w lud niesie, którymi lud oświeca.

Jakie ciskano oszczerstwa na głowę młodej demokracji! jakimż ją szczuto podejrzeniami śród opinji! Zdrada ojczyzny, zaprzaństwo narodowe, zwyrodnienie moralne, zbrodniczość, barbarzyństwo obłęd: oto akordy tego hymnu, który towarzyszył narodzinom ruchu ludowego i jego pierwszym krokom na drodze rozwoju.

Dziś, ruch i dążenie ku samodzielności w glebie ludowej zbyt głęboko już zapuściło korzenie, aby je można było zniszczyć chórem złorzeczenia. Zmieniono tedy sposób walki. Już niema mowy o wyobcowywaniu z ojczyzny — chłopa, dlatego tylko, że się poczuł jej synem. Już nawet *Słowo* dziś spostrzegło, że nazbyt oczywistą byłoby karykaturą wyganiać z narodu zastępy ludu, dlatego tylko, iż pragną dla swego narodu pracować i gotowi są dlań — cierpieć.

Więc to, co nazywano niegdyś zaprzaństwem i zdradą ojczyzny, obecnie nazwano — łagodniej — separatyzmem. Jednocześnie gromy dawnego potępienia przetopiono na słowa ojcowskiej nagany słowa pełne gniewu, ale i żalu zarazem, i rzewnego smutku, i tęsknych wyrzutów i rozgoryczonej brakiem zaufania miłości.

— Dlaczego iść nie chcecie razem z nami?— skarży się demokracja narodowa, ubolewając nad instynktem samodzielności ludowej, który tak dobitnie przejawił się w „Kółkach Staszicowskich."

— Dlaczego stronicie od naszej opieki?—pyta z żalem *Słowo*, imieniem wielkich obszarników, zaniepokojonych wzrostem nowego żywiołu demokratycznego,

— Dlaczego nie chcecie nas kochać?— dziwi się wreszcie duchowieństwo, w którego ręku dogasa piorun anatemy, zawieszonej nad głowami bezbożnych.

Jakże radykalnie zmienił się obraz stosunku wszystkich trzech odłamów opinji względem obozu ludowców! Gdy jeszcze niedawno odpychano ich ze zgrozą, dziś otwiera się przed nimi ramiona, jak skrzydła opatrzności, pod którymi lud może i powinien złożyć głowę swą bezpiecznie i z ufnością.

A owa opatrzność, pragnąca skrzydłami otulić dolę chłopa, jakże mieni się przepięknymi barwami obietnic i nadziei! Jest to opatrzność cywilizacji, postępu, techniki nowoczesnej, sprawiedliwości i rozumu. Opiera się ona na całym szeregu zbawczych utożsamień: interes księdza jest interesem chłopa, i — naodwrót. Podobnież, niema żadnej sprzeczności między interesami obszarnictwa a interesami ludu. Włościanie są drobnymi wytwórcami, t. zw. ziemianie — wielkimi: oto — wszystko. Innych różnic, dowodzi p. Bolesław Koskowski, — niema: w tym charakterze jedności, podchwytuje p. A. D. w *Słowie*, łączy ich wszystko. I jedni i drudzy pragną jaknajtaniej wyprodukować, jaknajdrożej sprzedać. Również pod względem społecznym, obie klasy służą jednemu godłu: stoją na gruncie istniejących stosunków zasadniczych.

A kler? Czyż w Wielkopolsce, pyta pan A. D. nie stał się on rzeczywistą opatrznością ekonomiczną dla włościaństwa? Czyliż, wobec braku środków na płatnych instruktorów, nie pracował tam nad nauczeniem go dobrego gospodarstwa? Włościanin wielkopolski płaci już do 900 marek za mórg, co odpowiada 27,000 rb. za włókę i procent umie wygospodarować, więc chyba dobrym gospodarzem być musi! Otóż, ksiądz właśnie, nikt inny tylko ksiądz, uczył go tam gospodarować; ksiądz był mu przewodnikiem wyższej, doskonalszej kultury. Ksiądz, oraz inteligencja wiejska!

A wniosek stąd?

Wniosek jest oczywisty. Wniosek może być tylko jeden, i potrójna dłoń reakcji ciągnie go za włosy, z tryumfem stawiąc przed oczy ogółu i wołając:

— Kółka Staszicowskie zwalczają kler i gardzą opieką ziemian, a więc, wbrew własnemu interesowi, zwalczają cywilizację i gardzą kulturą! Wypowiadają wojnę inteligencji, przedstawicielce wiedzy umiejętnej i rozumu! Niezdrowe hasła — konkluduje pan Koskowski. Taktyka samobójców - woła pan A. D. i uderza już w dzwony pogrzebowe.

Hola! — łaskawi panowie.

Dowodzenie wasze jest bardzo zręcznym kupletem, i, gdyby dorobić doń muzykę, bez wątpienia, zyskałoby duży poklask.

Niestety, jako argument przekonywający, żadnej wartości nie posiada.

Lud, świadomy obywatelskich praw i obowiązków, usuwa się od księży właśnie w imię odczucia swych zadań cywilizacyjnych. Powiadacie: chłop w dążeniu do oświaty spotyka na swej drodze przedewszystkim księdza, i — omijać go nie powinien!

Tak! Istotnie, spotyka zawsze księdza, ale spotyka go, jako zaporę. Zdarzają się, rzecz prosta, świetlane wyjątki i my, pierwsi zazwyczaj, witamy je z ochotą, ale wyjątki nie przełamują reguły, a co ważniejsza, zmienić nie mogą naczelnej tendencji Kościoła, który wszelkie odruchy rosnącej samoistności ludu zwalcza zasadniczo i bezwzględnie.

Gdy chłop, rolnik wiejski, odjąwszy dłonie pracą namulone z pługa, ośmieli się głowę wznieść ponad czarną skibę i wyjrzeć poza opłotki swej zaniedbanej wsi, czyż znajdzie w księdzu uczynnego przewodnika, który w jego duszy ujrzy i rozpozna rodzącego się człowieka i obywatela? Czy kler zrozumie płodny ferment jego świadomości? Czy go potrafi uszanować? Czy rzuci weń rodzajne, żywe ziarno godności, zamiłowania pracy społecznej, odpowiedzialności za naród, odwagi, prawości umysłowej, słowem tych wszystkich dóbr, z których wykwitnąć jedynie może — przyszłość nasza?

Ruch ludowy wyrósł w naszym kraju z niezmierzonych obszarów niedoli, z bolączki miljonów, z upośledzenia i — jednocześnie z gorącej chęci, z potężnej woli zaradzenia temu złu, wytrzebienia tych ostów, głogów i tych cierni.

Dopóki lud w milczeniu znosił ciemnotę i nędzę, kler — czyż brał w niej udział ofiarą, lub choćby tylko życzliwą uwagą, czy miał dla nich serce współczujące?.. A kiedy, wreszcie, włościaństwo ze snu obudzone, wydało okrzyk bólu i wstydu na widok swego zaniedbania i całym pędem ruszyło, w swej doborowej części, do

ECHA PRAWDY.

Przyczynki do naszej kultury.

Pan Czesław Hulanicki wydał książkę, nad którą należy się poważnie zastanowić, a przemilczać jej i przechodzić nad nią do porządku dziennego poprostu nie wolno.

Jakkolwiek dotycze ona bezpośrednio dwóch stowarzyszeń wraz z ich kierownikami: Warszawskiego Związku Roboczego oraz Stowarzyszenia Techników, pośrednio dotyka sprawy wiele szerszego znaczenia — poziomu etyki życia publicznego i powagi opinji publicznej w naszym społeczeństwie. Stowarzyszenia i związki są w każdym narodzie szkołą pracy obywatelskiej; u nas są dla niej jedynym polem. Nie mając prawie żadnego wpływu na zewnętrzne warunki naszego bytu, powinniśmy tym baczniej czuwać nad czystością naszego wewnętrznego życia, nad ścisłą poprawnością postępowania we wszelkiej zbiorowej i zrzeszonej robocie, nad nieskazitelnością naszych własnych wybrańców, którzy z ramienia i pełnomocnictwa grup społecznych pełnią w nich odpowiedzialne funkcje. Głos, który ostrzega o zachwaszczeniu lub zabagnieniu jakiejkolwiek placówki pracy społecznej, powołując się na fakty stwierdzone, z wymienieniem dat, nazwisk, cyfr, miejsca i wszelkich innych okoliczności, dających się sprawdzić, może być lekceważony tylko przez społeczeństwo całkowicie pozbawione już nietylko instynktu moralnego ale wprost samozachowawczego. Z każdego trzęsawiska wydzielają się miazmaty, niedające się wcale zlokalizować i roznoszące zarazę na całe otoczenie. Zły przykład szerzy zepsucie. Jeśli w jednym zrzeszeniu rozgospodaruje się jednostka nieuczciwa, swą bezczelnością potężna, bezkarnością rozzuchwalona a zasłonięta przez klikę sobie podobnych — to jej powodzenie stanowi niemałą zachętę dla innych rycerzy przemysłu, by opanowali nowe środowiska i niszczyli je, dezorganizowali i deprawowali dla wyssania z nich osobistych korzyści.

„Jakkolwiek w zasadzie wszyscy autorytet opinji publicznej uznają i nieustannie się na nią powołują, ona zaledwie po niemowlęcemu u nas kwili, jej vis movens jest żadną, bo w sieciach jej wpływu giną tylko insekty lub płotki, grubsze zaś ryby i drapieżce drwią sobie z niej, jeśli tylko znajdują osłonę w jakim możnym protektorze lub w klice" — pisze pan Hulanicki.

W stosunku do prezesa Związku Roboczego, p. Krzeczkowskiego, cała prasa spełniła swój obowiązek, lecz głos jej został zlekceważony z wielką szkodą nietylko tej jednej instytucji lecz innych, których byt został podkopany lub zniszczony. Spra-

pracy kulturalnej, do organizacji, wiążąc się w kółka i zrzeszenia, jakimż to czynem i jakim wspaniałym słowem odpowiedziało na okrzyk ów duchowieństwo? Czy nadbiegło z pomocą, czy postarało się wejść, wniknąć w potrzeby i troski tych nowych obywateli kraju? Czy zaofiarowało im radę szczerą, pomoc rzetelną, światło bezinteresowne? A przedewszystkim, czy zapytało ich o stosunek względem kraju i narodu, o sposób pojmowania swej roli wobec ojczyzny i wobec ludzkości?

Nie! Uderzono w nich odrazu piorunem klątwy. Pierwszym słowem, które ów „nowy w ojczyźnie człowiek“ usłyszał z ust księdza, było słowo przekleństwa.

Zbrodniarze i wszeteczniey, ubrani w białe habity mnichów jasnogórskich, pod osłoną infułatów, rabowali pieniądze publiczne, krwią, skrytobójstwem i nierządem plugawiąc ołtarze i sakramenty: żaden grom na głowy ich nie upadł. A kiedy złoczyńców już łańcuchami okuto, jeszcze biskup zeszedł z katedry i próbował ich swym sakralnym fioletem osłaniać przed gniewem i ciekawością tłumu.

To się nazywa — dbać o swe owieczki!

Ale gdy bracia nasi, ludzie pracy publicznej, zasługi i rzetelności przykładnej, powstają na wsi, jako bojownicy i zwiastuni lepszej doli, gdy garną się do abecadła, do historji, do agronomji: wtenczas — anathema vobis! Bądźcie przeklęci!

Ten piorun kościelny, który ominął głowę ojca, Damazego trafił w głowę — Manterysa!

Więc nie prawcie dzisiaj ludowi o dobrodziejstwach współpracy z klerem, bo do krzywd dotychczasowych, wbijacie w serce chłopa jeszcze — cierń naigrawania się z cudzej niedoli.

Raczej do duchowieństwa zwrócić powinniście się, panowie, z pobożną misją, aby zaprzestało bezecnej walki, aby się nawróciło etycznie i społecznie, aby wyrobiło w sobie wygasłą do wieków zdolność do pracy twórczej. Ale naprzód wypadłoby wam spędzić z dostojeństw biskupskich denuncjantów, czepiających się martwiejącymi rękoma klamki biurokratycznej, aby zgnębić wyrokiem lub zesłaniem ludzi odmiennych przekonań.

Ale wy tego uczynić nie zdołacie.

W takim zaś stanie, przy obecnych warunkach moralnego i umysłowego doboru księży, o wspólnej pracy żywej części ludu z klerem nie może być mowy.

A zresztą, czyliż ksiądz wiejski mógłby zaspokoić głód wiedzy w poszukiwanym przez chłopa zakresie? Przecież on sam jest nieukiem. Czteroklasowe wykształcenie wybiło się w całej świetności na powierzchnię uwagi publicznej ze słynnej korespondencji Macocha z Olesińskim. Parę kropel łaciny rozpuszczonej w wodzie scholastycznej — oto zawartość księżego mózgu. Jakie usługi tego rodzaju substancja mózgowa oddać może drobnemu rolnikowi? — może zechce nam to wyjaśnić pan Bolesław Koskowski, lub pan A. D., dwaj entuzjaści przewodniczej roli kleru w życiu ludowym.

Prawdopodobnie, powołają się oni na przykład Wielkopolski, gdzie księża ruch ludowy ujęli w poświęcane dłonie. Niestety, przykład ów nie pozwala na żadne analogje. W Niemczech, wogóle, kler katolicki stoi na poziomie umysłowym o wiele wyższym, niżli u nas, w Królestwie. Wyż-

---

wa ta opierała się kilkakrotnie o sądy koronne w kilku instancjach, a wyrok zawsze brzmiał dla pana Krz. ujemnie. I mimo to tkwi on niewzruszenie na swym stanowisku, pytanie tylko, jak długo trwać będzie to stanowisko, t. j. jak długo utrzyma się Związek Roboczy przy takiej gospodarki.

Tolerancję stowarzyszonych w tym wypadku zrozumieć łatwo: są to ludzie biedni, poszukujący pracy,—z tej przyczyny wstępujący do Związku a lękający się, by zbyt śmiałą opozycją na utratę chleba się nie narazić.

Czym jednak tłómaczyć tolerancję techników, jeśli fakty przytoczone przez p. Hulanickiego są prawdziwe? Wszakże do tego Stowarzyszenia należą przeważnie ludzie bogaci, materjalnie niezależni, ludzie poczytujący się za pewnego rodzaju elitę, stąd zobowiązani do wybredności w doborze towarzystwa?

Zarzutów p. Hulanickiego niepodobna potraktować jako osobistą napaść, prywatną obrazę. Najsłabsze z nich tylko dotyczą obyczajów towarzyskich, panujących w Stowarzyszeniu Techników, jak skandalicznego „mordobicia“, o którym w swoim czasie pisały wszystkie „kurjerki“. Pan H. nie waha się twierdzić, że Stow. Techników jest klubem łapowników, defraudantów, maczających ręce w groszu publicznym, łupiących kasę Stowarzyszenia, eksploatujących nawet fundusze szkoły, której założeniem się ono chlubi. Wytyka on takie rzeczy jak tolerowanie w swym gronie zdemaskowanych złodziei, a nawet zbiorowe uchwalanie dla nich honorowych oznak i adresów, oszukiwanie w kartach i pobłażanie oszukującym szulerom, przeciążanie ludzi pracujących, wyprowadzanie ich w pole kłamliwymi obietnicami i niesumienne wyrzucanie na bruk po wyeksploatowaniu ich dobrej wiary.

Jeżeli przytoczone fakty są fałszem, to pan Hulanicki jest potwarcą i należy mu tego dowieść sądownie, a przez to uniemożliwić dalsze jego napaści. Jeśli są prawdziwe — to ogół techników winien w świetle zupełnej jawności przeprowadzić gruntowną sanację Stowarzyszenia, wyrwać z korzeniem brudne jednostki, które kompromitują i zaśmiecają całą instytucję i odgrodzić się od nich publicznym i głośnym zerwaniem wszelkiej z nimi łączności.

Tu już nie chodzi wcale o obrazę prywatną, którąby można po chrześciańsku zapomnieć lub wybaczyć, lecz o moralność publiczną, domagającą się zadosyćuczynienia z jednej lub drugiej strony: Nie wolno rzucać błotem kalumnii na ludzi czystych, i nie wolno osłaniać płaszczem nietykalności i uprzejmej dyskrecji ludzi brudnych. Albo jedno albo drugie przestępstwo zostało tu spełnio-

szość ta datuje się od czasów *Kulturkampfu*, i jest wynikiem zastosowania względem księży ze strony rządu przymusu wykształceniowego. Nasz zwykły proboszcz z Królestwa intelektualnie odpowiada zaledwie randze tamtejszego organisty. Czteroklasowy bakałarz nie może iść w porównanie z człowiekiem, który otrzymał wykształcenie, bądź co bądź uniwersyteckie; który na uniwersytecie był; jakkolwiek zamknięty na wydziale teologicznym, jednak o rzeczywistą naukę się ocierał, niekiedy z nią przez ścianę sąsiadował! który oddychał atmosferą książnic i muzeów, zna choćby z widzenia powagę i doniosłość pracy naukowej, majestat wolnej, badawczej myśli ludzkiej!

Wszelako, zgubne następstwa opieki duchownej nie omieszkały się uwydatnić tam, nawet przy wyższym poziomie kulturalnym kleru. W krótkim stosunkowo czasie rządy klerykalne zabiły tam życie duchowe społeczeństwa, redukując działalność narodową wielkopolan do zabiegów wyłącznie ekonomicznych. Beocja polska! oto przydomek dzisiejszy tej prastarej dzielnicy, która wypiastowała ongi ducha państwowości naszej i podstawy naszej kultury. Cena ziemi poszła tam w górę i dosięgła w czasach ostatnich niebywałej wysokości! —słusznie podkreśla ten objaw pan A. D. w *Słowie*. Jest to zasługa księży. Ale jednocześnie, duch w społeczeństwie zmalał, kurcząc się do granic dzielnicowego oportunizmu, jednocześnie język więdnie i porasta rdzą niemczyzny, twórczość naukowa upadła, literatura zanikła, solidarność ojczyźniana gaśnie:— o tym pan A. D. milczy. A to jest także zasługa księży.

Niechajże, zarazem, będzie ona dla nas—przestrogą, aby pieczy nad kulturą narodową nie powierzać w ręce teokracji.

Pozostaje, natomiast, udział w pracy ludowej w charakterze przewodników i oświecicieli, ze strony inteligiencji oświeconej. Tym udziałem i tą pracą, wbrew alarmom pana Koskowskiego, chłopi bynajmniej nie gardzą. Owszem szukają ich skwapliwie i przyjmują z wdzięcznością.

Odrzucają zaś jedynie usługi tych którzy z mistrzowania ludowi pragną uczynić dla siebie zawód zyskowny i — beneficjum wiekuiste, na nieudolności i pokorze chłopa zawarowane. Ci to, dziedzice przywileju, zagrożeni w swym stanowisku, gromkim obecnie ogłaszają się płaczem i narzekaniem, ale tym rzeczywistość nieubłagana słowami Asnyka odpowie: „Daremne żale, próżny trud"

Lud pójdzie swoją drogą!

Dwaj ewangeliści.

JÓZEF WEYSSENHOFF I LUDWIK STRASZEWICZ.

(Dokończenie).

Jak ciche, jak dyskretne jest to bohaterstwo księdza. Jak w swej prostocie szlachetne i wzruszające! Konflikty w duszy księdza jak głęboko prawdziwe, pełne realizmu, jak żywotnie szczere! W tej duszy ileż życia, ile gwaru i trzepotu uczuć: dusza owa to nie abstrakcja, to nie widmo papierowe: to rozorana skiba, bijąca aromatem świeżości, pełnią charakterystycznej prawdy.

Weyssenhoff, jako artysta, mierzy postaci swe wzrokiem złym, drwiącym, stalowym. Jego wieczny, niegasnący, nieubłagany uśmiech napełnia powieści jego atmosferą lodowatą, mrożącą krew i serce w czytelniku. A jednak w chwili, gdy pió-

nym; ogół musi się dowiedzieć, które? Komu ma ufać, a od kogo stronić

Zamilczenie tej sprawy byłoby samo już wprawdzie pewnego rodzaju odpowiedzią, ale dla Stowarzyszenia Techników zabójczą.

Zamach na „Kulturę Polską".

Wspomniany już poprzednio „nieburżuazyjny" tyg. *Światło* wystąpił z gwałtowną napaścią przeciw kierownictwu *Kultury Polskiej* za to że w organie tym wytknięto bez ogródek typową działalność „szczurów wędrownych" co to wszędy roszczą sobie prawa, a nigdzie poczuwać się nie chcą do obowiązków.

— Wolno wam — wołało *Światło* — tropić „szczury wędrowne" i karcić zwyczaj krwawych porachunków uprawianych przez „dzicz mordującą" lecz nie wolno czynić tego w organie T-wa, które *nie jest waszą własnością!*

Po bliższym zbadaniu tych iście szczurzych uroszczeń okazało się, że by zadowolić malkontentów z V-go oddziału *Kultura* powinna przestać być *Polską* i stanąć na gruncie beznarodowo-klasowym. Pozatym winna otoczyć troskliwą opieką tę właśnie część żydostwa, która będąc obcą i wrogą społeczeństwu, stanowi ciężar gospodarczy dla kraju i wdzięczny grunt dla rozwoju prasy żargonowej.

Ponieważ jednak Al. Świętochowski, twórca Towarzystwa i redaktor *Kultury Polskiej* nie da się żadną miarą nagiąć ku tej roli, przeto pp. oponenci z V-go oddziału uznając jego działalność za niepożądaną, postanowili... usunąć go z zajmowanego stanowiska i *Kulturę Polską* ...zawiesić na miesiąc lub na czas nieograniczony.

Gorący bardzo udział w kampanji bierze prasa litwacka z *Hajntem* na czele. *Kultura Polska* bowiem uchodzi w tych sferach za potężną i bodaj ostatnią warownię asymilacji Reprezentując żywioły, które z natury rzeczy nie mogą mieć dostępu do spraw T-wa, a chcąc mu za wszelką cenę zaszkodzić, kierownicy *Hajnta* znaleźli bezwiednych może lecz wielce użytecznych i chętnych wykonawców w osobie pp. malkontentów z V-go oddziału. Intencje tych ostatnich są może odmiennej natury, ale kampania w gruncie rzeczy sprowadza się do wspólnego z *Hajntem* mianownika i to jest jej najwybitniejszą cechą.

Niebawem odbędzie się walne zebranie wszystkich oddziałów T-wa; sprawa na szersze wody wypłynie i niejedna wątpliwość się wyjaśni. Mamy nieplonną nadzieję, że *plenum* T-wa energicznym słowem zakusom tym kres położy.

ro jego maluje drobne ekstazy i wielkie troski Wiklińskiego, czuć po za uśmiechem ironisty rozrzewnienie poety, pod mroźnym spokojem satyryka — czuć łzę gorącą romantyzmu.

Ksiądz Wikliński bardzo lęka się burzy; a jednak, gdy go zawezwie obowiązek, wdzieje na się płaszcz, opuści rozbawione towarzystwo i, śród błyskawic i ulewy, będzie się darł pod górę, do plebanji. Ksiądz Wikliński bardzo lęka się żandarmów; a jednak groźba zesłania na Sybir nie powstrzyma go od udzielania ślubów Hryćkom i Paraskom. Ksiądz Wikliński bardzo lubi kapłony, nadziewane kasztanami, których niegdyś dał mu pokosztować Weyssenhoff, w Hotelu Europejskim w Warszawie: a jednak zrzeknie się i kapłona i kasztanów, aby iść zająć posterunek przemytnika dusz — pod piorunami.

W odmalowaniu scen tych przez Weyssenhoffa tyleż jest pobłażliwej ironji, ile poważnego, chwytającego za serce uczucia.

Ironja uśmiecha się wobec słabostek księdza, ale serce jednocześnie współczuje człowiekowi, który słabostki owe umie deptać tryumfalną stopą apostoła!

Weyssenhoff z żartobliwą ciekawością spogląda na księdza Wiklińskiego, gdy ten oślepiony błyskawicami i ulewą dąży do plebanji. Z żartobliwą ciekawością nań spogląda i myśli: „Oto człowiek, który się wyrzekł kapłona, kasztanami nadzianego, i moknie!“ Ale z chwilą, gdy ksiądz stanął w progach swej plebanji, stanął na swym wysokim posterunku, o! wtenczas jego postać ulega przeistoczeniu, olbrzymieje, rozrasta się w oczach autora. „Oto zbawca i przemytnik dusz pod piorunami!“ — głosi Weyssenhoff. „Bojownik sprawy narodowej“ — dodaje za nim pan Straszewicz. Obaj zgodnie widzą w nim wówczas wielki symbol wysiłku narodowego, opokę wytrwania, twierdzę obrony i walki o najświętsze prawa człowiecze.

Otoczony groźną tajemnicą, znaczony krzyżem krwawym na męczeństwo, ksiądz powoli, niespostrzeżenie, dorasta wielkich, tragicznych wypadków, w których uczestniczy. Oto wzniesieniem rąk kapłańskich błogosławi na życie uczciwe parę nowożeńców; błogosławiąc utwierdza w nadziei, że Bóg niezupełnie ich opuścił. Weyssenhoff, ze czcią zawisnął pobożnymi oczyma u tych rąk błogosławiących, bo wydaje mu się, że niewidomie dzierżą one los narodu, zagadkę naszej przyszłości, nadzieję i zadatek zwycięstwa.

— Zwycięży bowiem ten, tłomaczy pan Straszewicz, kto serce ludu zdobędzie. Zwycięży kto sam da mu serce szczere!

I oto obaj witają w księdzu Wiklińskim — zwycięzcę!

Obaj stają się jego bohaterstwa ewangelistami: idą w naród z radosną nowiną, z mocnym słowem otuchy; niosą wieść, że tam, na posterunku „pod piorunami“ walka trwa, i duch walki nie ustępuje z szeregów zdziesiątkowanych, ale nieugiętych, cierpiących, ale ufnych.

Bo w czym obaj widzą zadatek naszej siły, tryumf naszej sprawy, to właśnie w owej pogodnej ufności, z jaką bohaterowie tamtejsi podejmują brzemię ofiary. Ich poświęcenie rodzi się w promieniach niefrasobliwej pogody ducha ksiądz: Wikliński to nie jakiś tam w śpiżu wykuty olbrzym, pod którego krokami gnie się i huczy ziemia To zwykły sobie pospolitak, który się grąży w drobiazgach, który słucha nakazów Pana Boga, ale nie lekceważy też rad swej gospodyni. I to, że ów zwyczajny sobie człowiek, jeden z tysiąca, może jeden z miljona — potrafi z wydeptanej ścieżki swych drobiazgów wznieść się odrazu na szczyt bohaterstwa, to napawa duszę Weyssenhoffa zachwytem, jako artystę, a duszę p. Straszewicza dumą, jako polityka, świadomego zasobów energji narodowej. Bowiem księdzem Wiklińskim stać się może w pewnej chwili każdy; imię jego jest legjon. Ksiądz Wikliński mieszka w każdej parafji. A pioruny, dniem i nocą nad jego głową zawieszone, rodzą niebezpieczeństwo, tak! ale rodzą także od-

Meandry.

11.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Już koniec zimy, wiosna się zbliża.—
Tak dziennikowy wieszcz nasz ból ukaja
Gdy słońce świeci, ustaje czas słoty.
Lepszy łut szczęścia, niżli beczka cnoty,
Ale najlepsze są: „Pastylki Fay'a“.

12.

Tak minął Nero, jako ryk bawoli,
Głód, mór, pożoga lub zwidzenie chore,
A korona papieży dotąd trwa i — gore: —
Orzekł Henryk Pobożny, patrząc w wieków kolej.
Nie przewidział snadź tego, że kresem niedoli
Bywa, gdy ktoś przeminąć nie potrafi — w porę.

13.

Mistyficiński wzrokiem błądząc w mroku gwiazd,
A ręką zapinając guzik kamizelki,
„O! Trismegista, westchnął, boże, jakżeś wielki!
Jakżeśmy wielcy obaj! Ty — Ahura-Mazd —
Dźwigasz świat na ramionach, gdy ja — ziemski Wiest...“
—„Widzę! bóg zagrzmi: dźwigasz na ramionach—szelki“

14.

Z żywymi naprzód trzeba iść,
Przebojem piąć się na wyżynę!
A nie z uporem — kwaśną minę
Stroić w uwiędłych laurów liść!
- To zdanie, niby wonną kiść,
Dzisiej dziad każdy kładzie na łysinę.

15.

Biada ci, polska Warszawo! biada Ilionie syreni!
Ze wschodu szoruje nurtem na ciebie żargon litwacki,
Z zachodu wdarł się langage nic warty, neopollacki, —
I jeśli tej katastrofy los jakiś nam nie odmieni,
Za lat pięć będą rozumieć po polsku tylko uczeni,
Odcyfrowując w lamusach księgi z napisem Słowacki.

16.

Mieć sukces na teatrze — nic tak to znów trudno;
Weź „temat historyczny“: ruski, pruski, chiński,
Pleć trzy po trzy, byleby dużo, i nabrudno
Reżyserowi daj, — on z tego cudną
Wytnie-ć sztukę (choćby dał tekst sam Nowaczyński),
I będzie „szła“, gdy zagra Frenkiel lub Kamiński.

17.

Nazwę cię *piórem głębokiem*,
Gdy lać poczniesz słów potokiem
Ekiwokowym langue d'oc'iem,
Nie mrugnąwszy nawet okiem
Zablagujesz sztuk rococ'kim,
A przed krytycznym Sherlokï'em

wagę, rodzą piękno ofiary, z której popiołów nowe młode, potężniejsze urośnie życie.

Gdy czyny Księdza Wiklińskiego dają nam moc wytrwania, gdy wytrwanie w naszych warunkach równa się zwycięstwu, a zaród onych czynów mieści się w najwątlejszej piersi, tedy: Sursum corda! Podnieśmy serca śmielej! Nie zginiemy: nad nami czuwa Bóg, który niezawodnie już dawno podpisał amnestję dla Polaków za ich grzechy dziejowe, i tylko chwili stosownej czekał, aby z pośród maluczkich wzbudzić potężnych Samsonów i Machabeuszów. Chwała księdzu Wiklińskiemu, albowiem w jego sercu prostaczym obrała siedzibę groźna moc Pana Zastępów! Ona to sprawia, że nad ubogą strzechą plebanji, wzniesionej na górze i otwartej piorunom, powiewa skrzydłami sława dawnych zwycięstw — z pod Kircholmu, z pod Chocimia, z pod Jasnej-Góry. .

* * *

Jakże bolesną sprawą jest zdzieranie złudzeń! Zwłaszcza — złudzeń sentymentalnych. Niestety, ta funkcja bolesna zazwyczaj nam, postępowcom w udziale przypada. Lwia część niechęci i obawy które w społeczeństwie musimy spotykać, niewątpliwie płynie z tego źródła. Aleć nawet zdjęcie katarakty pono nie odbywa się bez bólu. Podobnież, zadawać musi ból i ten, kto z ócz ducha zdejmuje łuskę iluzji. Niedawno nazwano nas pesymistami. Czyż dlatego nimi jesteśmy, że od różowych snów, którymi ogół osłania swe lenistwo, odwołujemy się na każdym kroku do surowej, do twardej rzeczywistości? Czy dlatego że z łańcuchów, nas krępujących, zrywamy kwiaty sztuczne, które je pokrywają? — Tak, czynimy to niezawodnie. Ale czynimy, — użyję tu genjalnej metafory Marksa,— nie w tym celu, aby człowiek odtąd dźwigał jarzmo swe w posępnym trudzie, bez pociechy, jeno, aby odrzucił jarzmo i zaczął kochać kwiaty żywe.

Otóż, bohaterstwo księdza Wiklińskiego, ku pokrzepieniu serc, jako ewangelja narodowi głoszone, wydaje mi się takim kwiatem sztucznym, nakrywającym ranę, krwiącą od łańcucha, wżartego w ciało ludu.

* * *

A naprzód:

— Co znaczy maksyma pana Straszewicza: *Zwycięży ten, kto serce ludu zdobędzie?* Jaki ona ma związek z postacią księdza Wiklińskiego, z jego charakterem i działalnością? Czyż nie leży ona całkowicie poza nawiasem jego woli?

Burzliwa noc, hucząca ulewą i wichrem, rzuca na próg plebanji zbłąkaną parę narzeczonych, którzy przekradali się do Galicji, ale zmylili drogę i żądają teraz sakramentu od księdza Wiklińskiego. Unici! I ów udzieli im ślubu. Za pierwszą parą przyjdzie druga, trzecia i dziesiąta: ksiądz wszystkie łączyć będzie potajemnie; wszystkie pobłogosławi, z narażeniem własnego dobrobytu, własnej wolności.

W tym narażeniu swej osoby tkwi niewątpliwy pierwiastek bohaterstwa, ale jest to bohaterstwo bierne, jeśli nie wymuszone, opieszałe, jakoby, i wyczekujące. Nie świeci ono własnym blaskiem. Nie żywi się własnym ogniem. Jest ono szklanym odbiciem tego krwawego płomieniska, które goreje w duszy ludu. Zagaśmy to płomienisko, a ksiądz napowrót wsiąknie bez reszty w swe drobiazgi: zgaśnie bohaterstwo jego pod piorunami! Bo nie na jego głowę lecą te pioruny, ale na głowy ludu; a on tylko na chwilę stanął w błyskawicy gromu, który nie w jego dom uderzył. Wokół domu tego, łzy i cierpienia ludu piętrzą się falą tak wysoką i burzliwą, że dom ów zdaje się arką cudowną, Piotrową łodzią zbawienia, żeglującą przez oceany ducha. Ale niech wyschnie morze łez, plebanja osiądzie na mieliźnie pospolitości. Rozkwit i szczęście ludu stanie się jej schyłkiem moralnym, — jak dziś wielkość jej moralna czerpie soki z niedoli i męczeństwa uciśnionego gminu. Niedola i upośledzenie miljonów, oto podścielisko niezbędne dla bohaterstwa tej jednostki.

Wykręcisz się five o clock'iem, —
Choćbyś mieszał Locke'a z Lokki'em
I Cake-walka z Paul de Kock'iem
Nazwą cię *piórem głębokiem.*

(*D. E.*)

Nowe pisma.

Tygodnik Polski. Zaczął wychodzić 10 lutego w Warszawie, już w drugim numerze zdążył wyrazić przykre zdziwienie, że prasa nie okazała mu żywego zainteresowania, nie określiła charakteru pisma lub określiła go mylnie jako wyraz „poglądów i haseł narodowej demokracji".

Widocznie redagowany jest przez optymistów łudzących się że samym swym pojawieniem się i pierwszym słowem do czytelników wywołają niebywały efekt i podbiją umysły. Trudno jednak wyrozumieć, na czym się te wysokie aspiracje mogą opierać. W nowym piśmie przedewszystkiem niema nic nowego, a jego podobieństwo familijne do wszystkich organów narodowej demokracji jest istotnie zbyt uderzającym, aby się go wyprzeć można. Wprawdzie znajdujemy tam artykuł „Nowe hasło", mowa tu jednak tylko o neo-pozytywizmie, z którym redakcja ani się nie solidaryzuje, ani mu się przeciwstawia, radzi tylko wstrzymać się z popychaniem narodu na „nową drogę", zanim „znajdą się siły zdolne ją w prawdziwie twórczy sposób oświetlić".

Wyjaśnienie samo przez się dość enigmatyczne i nic nie mówiące, a takich niedomówień, nieokreślonych zapowiedzi, odroczonych w najżywotniejszych sprawach wyroków znajdujemy w *Tygodniku polskim* moc wielką. Już pierwszy artykuł wstępny, „Realizm polityczny", bardzo wodnisty i mętny dowodzi, jak trudno przychodzi autorom zdobyć się na własną fizjognomję. Z tej rzekomej krytyki kierunku ugodowego z całą łatwością wysnuwa się zupełna sankcja ugody ze wszystkimi jej zboczeniami najnowszego typu, tymi którymi wzbogaciła ją endecka neo-ugoda p. Dmowskiego. Cały spór redukuje się tylko do poszczególnych zastosowań, do wyboru odpowiedniego momentu. Ocena stosunków poznańskich, galicyjskich, w szczególności zaś górującej tam nad innemi reformy wyborczej — potwierdza to pokrewieństwo duchowego nietylko w założeniach ale w metodach działania. Twierdzenie, że nikt w polskim społeczeństwie reformy wyborczej na serjo nie pożąda, że jest ona mu wyłącznie narzuconą przez rząd i Rusinów, jest typową i dosadną próbką tej metody politycznej, którą po licznych doświadczeniach lat ostatnich można było uważać za doszczętnie zbankrutowaną. „Czego nie chcę, tego niema i tego nikomu widzieć nie wolno". *Tygodnik polski* nie chce również, aby sprawa Jasnogórska w czym

Weyssenhoff, zapatrzony w jaśniejącą postać księdza, zapomina o ciemnokrwawym tle, na którym ona wyrosła. Pan Straszewicz, zachwycony wizją Weyssenhoffa, rozpłakał się nad losem księdza.

A któż nad dolą ludu zapłacze? Któż niemą jego skargę wysłucha? Kto rozpacz jego historji przyjmie w serce otwarte i czujące?

Ani jednej łzy nie znalazł dlań poeta.

Na żaden protest nie zdobył się polityk — patrjota.

Oni obaj rozkochani są w pięknej, w dekoracyjnie pięknej, ofierze księdza Wiklińskiego, rozkochani tak dalece, że pragnęliby ją widzieć utrwaloną, mnożącą się, wielekroć powtarzaną, wiecznie żywą, tryumfującą i tryumfalną. Bo dla nich ta ofiara już jest świadectwem siły, już realizacją potęgi. Oślepieni złudną, powierzchowną pięknością bohaterskiej roli księdza, nie dostrzegają tragicznej otchłani mroku, który pochłania od wieków ofiary bezimienne. W tym wielkim straszliwym chramie męki i poświęcenia, który się zowie życiem ludu „w smutnej ziemi chełmskiej", ksiądz Wikliński wraz z heroizmem swym i wszystkimi cnotami jest tylko — szczegółem ornamentacyjnym.

Pan Straszewicz mówi:

— Zwycięży ten, kto serce ludu zdobędzie. Kto sam da mu serce szczere!

A więc: bohater Weyssenhoffa — zwyciężyć nie może! On serca ludu nie zdobywał To lud sam serca swe rzucił mu pod stopy, aby wzamian zdobyć zaufanie księdza I zdobył je, ale za jakąż cenę! Lud poprostu wlamał się do jego serca, jak do zamkniętej warowni, posiadł to serce przemocą, spadając na nie w noc pamiętną razem z impetem burzy i hukiem piorunów. Jeśli więc mowa tu jest o zdobywcy, to miano przysługuje tylko ludowi, nie zaś księdzu.

Wprawdzie, czytamy w noweli Weyssenhoffa o wspólnictwie duchowym, które niebawem wywiązało się między księdzem Wiklińskim a jego gośćmi nocnymi: „Byli oni źródłem niepokoju i smutnych przeczuć; mogli stać się przyczyną więzienia i wygnania; ale, jednocześnie, stali się dla proboszcza ściślejszym kółkiem wiernych, połączonym przez groźną tajemnicę, gminą wybraną". Wspólność obawy przed widmami żandarmów, oto jedynie węzły rzeczywistej łączności między proboszczem a cząstką tego ludu, który swe prawo do męczeństwa wyraża z taką przedziwną prostotą:

— Owce boże jesteśmy — i nam pilno.

Ale niech znikną żandarmi, natychmiast wszelka łączność duchowa pryśnie: nie z wewnętrznych biła ona źródeł, ale szła z zewnętrznego przymusu.

Gdy Sułkowski, w tragedji Żeromskiego, żołnierzom składa przysięgę, iż z gardła przemocy wydrze wolność ludu i jego szczęście, to w owej godzinie przysięgi następuje rzeczywiste stopienie się woli jednego człowieka z duszą cierpiącego ludu. Niema wówczas żadnego przedziału między bohaterstwem tego męża a losem ojczyzny. Tam bohaterstwo jednostki jest dźwignią, która ma naród wyzwolić, podnieść, uszczęśliwić.

A w noweli Weyssenhoffa?

I oto stanęliśmy przed zagadnieniem o tak bolesnej fizjognomji, że ze strachem odwracają się odeń zarówno poeci jak politycy, publicyści jak i społecznicy.

Ziemia chełmska jest areną długotrwałej walki religijnej, zaciętej wojny — wyznań. Przez szczególny tragizm historji, na szali tej walki wyznaniowej, na jej wyniku ostatecznym, wsparł się nasz interes narodowy, zawisła nasza sprawa ojczysta.

Obozy narodowo-klerykalne, uroczyście obwieszczają tożsamość katolicyzmu z polskością na tej nieszczęsnej połaci ziem, dla których zegar dziejowy wybija wciąż godzinę wojny Trzydziestoletniej. I, wistocie, twierdzenie powyższe, które dla całej Polski już stało się anachronizmem, dla chełmszczyzny nadal zachowuje słuszność nieprzedawnioną: tam Kościół katolicki istotnie jest uosobieniem i szańcem polskości.

Cudów męstwa i wytrwałości dokazują tam

---

kolwiek kompromitowała zakon Paulinów, zakony lub duchowieństwo polskie. Dla niego Macoch to tylko „pisarz gminny", który teroryzował Paulinów Bogu ducha winnych, szczerze pragnących żyć w ascezie i świętobliwości, lecz spotykających na tej drodze nieprzezwyciężone przeszkody ze strony gminnej kancelarji. Tu i owdzie błyska na łamach pisma jakaś wątła iskierka myśli demokratycznej, jakiś słabiuchny ślad nowych orjentacji, (np. w artykule wyjaśniającym że upadek polskiej kultury na Litwie i Rusi w znacznej mierze uwstecznieniu tamtejszych Polaków przypisać trzeba) całość jednak daleką jest nawet od tego kierunku, jaki przybrała już od dość dawna t. zw. fronda endecka po otrząśnięciu się z mistyfikacji pana Dmowskiego. Pismu brakuie nietylko określonego programu, indywidualnej fizjognomji lecz i temperamentu pisarskiego.

Nie możemy się powstrzymać od jednej uwagi: kijowski korespondent *Tygodnika polskiego* nazywa Królestwo Polskie „Powiślem". Takie nowatorstwo powinno być przez redakcję energicznie poskramiane, trudno bowiem przypuszczać, aby ona z zasady i świadomie je tolerowała.

*

Kwartalnik poświęcony badaniu przeszłości żydów w Polsce. Przedstawia się bardzo pokaźnie a nawet imponująco zarówno pod względem treści jak i zewnętrznej formy. Spotykamy tam poważne artykuły poważnych piór jak: prof. Aszkenazego, Henryka Mościckiego i innych. Kwestja żydowska może znacznie zyskać na pogłębieniu przez wyświetlenie jej historycznej genezy i staranne zbieranie dla niej faktycznych przyczynków. To co wyczytać można w tym pierwszym zeszycie, w artykułach dotyczących stosunku żydów do społeczeństwa polskiego w chwilach dla niego przełomowych, jak „W dobie księstwa Warszawskiego" (Sz Aszkenazy) „Żydzi polscy pod berłem Katarzyny II-ej" (Mościcki) „W Dobie Królestwa Kongresowego" (Kandel) bynajmniej optymistycznie nie usposabia. Czytelnik nie bez zdziwienia spostrzega, że te trudności, zawikłania, te rozczarowania nawet, których przyczynę upatrujemy w zmianach stosunków, jakie zaszły w ostatnim dziesięcioleciu, istniały i przed wiekiem, a kwestja „litwacka" w najszerszym znaczeniu tego wyrazu ma swoje stare na naszym gruncie tradycje.

Pojawienie się *Kwartalnika* można uważać jako zapowiedź pożądanego zwrotu, przejście od nerwowo odruchowych polemik, do rzeczowych badań i roztrząsań.

* * *

Dwóch poetyzujących młodzieńców, pp. Władysław Kościelski i Ludwik Hieronim Morstin, po-

księża Wiklińscy, do wyżyn bohaterstwa wznoszą się chłopi—unici, aby ocalić swą wiarę, aby przemycić dusze — do katolickiego nieba, ciała — do katolickich grobów.

Wraz z Weyssenhoffem i panem Straszewiczem wierzyć będziemy, że poświęcenia te nie idą na marne, że zarówno dusze jak ciała, dzięki heroizmowi przemytnictwa, osiągają upragnione przeznaczenie. Najgłębsza atoli pewność co do ziszczenia celów zagrobowych przez ludność tamtejszą nie może zgasić w nas żarzącego się pytania co do wartości i przebiegu ziemskiego, człowieczego żywota tej ludności. Kościół jest szafarzem dóbr zaświatowych: ustanawia i przestrzega warunków zbawienia. Ofiaruje chrzest katolicki, zapewnia katolicką, bogobojną śmierć.

Ale życie? Ale sama treść życia?

Tę — religia katolicka, jak wszelka zresztą religja, na objawieniu oparta, bierze poza nawias.

Skojarzenie polskości z katolicyzmem!... Rozpaczliwy to zaiste ratunek sprawy narodowej. Jakże, bowiem, ubogo przedstawiać się musi p o l s k o ś ć w takiej duszy, gdzie zaledwie kiełkuje c z ł o w i e c z e ń s t w o.

Jak nizinne, złowieszcze mroki zalegać muszą w tych duszach, jeżeli najszczytniejszym kwiatem ich bohaterstwa bywa podrzucanie księżom katolickim noworodków do chrztu, akt który na ustach Weyssenhoffa wywołuje uśmiech pobłażliwy, ale dla nich tam stawał się sprawą życia i śmierci, wolności i więzienia. I to, że przez tak poziome i żałośnie-śmieszne punkty, przez punkty praktyk kościelnych, przechodzi dla nich linja prawdziwego bohaterstwa, to właśnie napawa nas, ludzi XX stulecia, mających tego rodzaju konflikty już poza sobą, uczuciem niewypowiedzianej zgrozy i bolesnego wstydu, i piekącej goryczy. Bo jeśli szlak bohaterstwa, linja najwyższego natężenia sił duchowych, impet entuzjazmu, przebiega na poziomie kruchty, chociażby kruchty katolickiej, to kędyż, w jakichże podziemnych mrokach kultury, w jakich głębokościach upośledzenia, pełzać musi powszednie, codzienne życie tego ludu!

Ale w odmęt tego upośledzenia i tej strasznej, obezwładnionej, nędzy nikt nie ma odwagi spojrzeć.

Poeci, publicyści i powieściopisarze bawią nas i wzruszają melodramatami, które grają na powierzchni odmętu tęczowymi kolorami wiary, nadziei, poświęcenia, trwogi i tryumfu. Nikt jednak nie odsłonił i nie wykazał dotąd, jakie czynniki rzeczywiste, głęboko tragiczne i straszne, składają się, tam na dnie, na tę grę kolorów cudną — na powierzchni.

Jedni nie czynią tego z powodu egoizmu. Drudzy — z powodu krótkowzroczności. Krótkowzroczność owa, atoli, zawiera w sobie bodaj tyleż egoizmu, ile egoizm ów — ślepoty.

Jan Tarczewski.

BELETRYSTYKA.

Kazimierz Wroczyński.

ŚWIETNY INTERES.

W niczym mi się nie wiodło. Gdy miałem ślizgawkę, zima przypominała wiosnę nicejską, damy chodziły w grudniu „do figury" w ażurowych bluzkach a młodzież grała w zielone. Kiedym natomiast założył fabrykę lodów i napojów chłodzących, przez całe lato lało jak podczas haute saison'u w Zakopanem. Miałem skład węgla i koksu, ale się spalił; zakładałem kolejno i bankrutowałem na dystrybucji, wystawie obrazów, cyklodromie, barze automatycznym, garage'u, nawet

---

częli wydawać aż w Paryżu roku zeszłego pod własnym kierownictwem miesięcznik, poświęcony literaturze i sztuce p. t. *Museion*, od stycznia zaś r. b. przenieśli redakcję pisma do Krakowa. Redaktorzy-poeci, naśladując dość modny obecnie prąd w Paryżu nadali *Museionowi* kierunek „klasyczny", który, trzeba przyznać, z pewnymi dywersjami utrzymali do tej pory.

Miesięcznik obfituje w przekłady klasyków starożytności i wielkich twórców późniejszych i pod tym względem tak ubogiemu czytelnictwu polskiemu oddaje usługę niemałą. Dość rzeczowe artykuły z dziedziny estetyki, historji, sztuki i literatury, poza względnie bladymi utworami oryginalnymi, uzupełniają czasopismo. W dzisiejszych czasach zupełnej posuchy, oportunizmu i spekulacji na gustach szerszej a płytszej publiczności, zjawisko tego typu co *Museion* należy do pocieszających a dodatnich. W każdym razie pismo to ma swój własny, odrębny i konsekwentny styl.

* * *

Tymbardziej podkreślić należy powyższą cechę *Museionu*, że skonstatować musimy fakt przybycia do obecnych, bezbarwnych, „aktualnych" tygodników warszawskich nowego kompana: *Złotego Rogu*. Tygodnik ten jest też klasycznym w swoim rodzaju: reprezentuje klasyczny szablon. Parę odcinków powieściowych naszych „znanych beletrystów": Gomulickiego, Glińskiego, Gąsiorowskiego (sit venia... inicjałom), „ilustrowanych" tak, jak to tylko u nas lub w krakowskich *Nowościach Ilustrowanych* potrafią, nieco artykułów „politycznych" (oh!), „społecznych" (ah!) lub „krytycznych" (eh!), zresztą mody, szarady, odpowiedzi z dziedziny kosmetyki „Pani Marcèle", aktualności i fotografie atletów cyrkowych, muzyków, defraudantów, trup amatorskich, słowem, bohaterów już nie dnia lecz godziny.

Złoty Róg ma wszelkie dane na rozwój wśród hojnie przez swe poprzedniki użyźnionej gleby małomieszczańskiego czytelnictwa.

* * *

Od stycznia r. b. wychodzić począł w Krakowie nowy miesięcznik poświęcony sprawom twórczości i kultury p. t. *Rydwan*. Redaktorem i wydawcą jest p. Cezary Jellenta.

Pierwszy numer *Rydwanu* tak ze swej idei (programu) jak i treści przedstawia się dość chaotycznie: obok rzeczy ważkich — błahe, obok zadań twórczych (nawet opiniotwórczych) dążność do uświadomienia czytelnikom faktu obecnego rozbicia opinji, ograniczonej i bałamutnej partyjności i porachunków osobistych (wiemy! wiemy!). Treść numeru stanowią prawie całkowicie artykuły: Freski Kościelne Legionu przez Cezarego Jellentę, Przypomnienia o sztuce przez Kazimierza Bereżyńskie-

na kinematografie i nawet na „sempiternolu" (leczniczym środku przeciwnie wynalezionym przeciw reumatyzmowi, impotencji, sklerozie, hemoroidom i anginie).

Nie wiodło mi się w niczym. Los drwił sobie ze mnie i spychał z drabiny społecznej na coraz niższe stopnie. Byłem nauczycielem towaroznawstwa i psychologji, suflerem, instruktorem na skating-rink'u, przekupniem ulicznym, wice-dyrektorem kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, rządzcą domu, komiwojażerem...

Wreszcie zrobił mnie los sekretarzem redakcji, pisma poświeconego literaturze nadobnej i sztukom wyzwolonym. Zajęcie moje polegało na zastępowaniu redaktora w funkcjach podrzędniejszych i przykrych sytuacjach: na prolongowaniu należności drukarzowi, ujadaniu się z metrampażem, pisaniu „odpowiedzi od redakcji" na nieistniejące przeważnie zapytania, wreszcie na zwracaniu rękopisów osobom reflektującym nietyle na nieśmiertelność po zgonie, ile na honorarjum autorskie za życia.

Ponieważ na każdem stanowisku starałem się,— wniknąc w istotę „interesu", w jakim pracowałem więc też i na posadzie rękopisonoddawcy począłem badać istotę „interesu" literackiego.

Zaobserwowałem rzecz znamienną: przyjęcie lub odrzucenie rękopisu zależało nadewszystko *od wyboru tematu* i *sposobu obrobienia*. Tematy, które zdaniem redaktora „szły" i obrobienie t. zw. „artystyczne" kwalifikowały utwory do druku.

Przychodzi naprz. takie indywiduum, którego rękopis jest w zasadzie odrzucony, ale posiada pewne elementy nie kwalifikujące go do kosza.

Indywiduum takie przyjmuje sam redaktor.

— Aha — to pan — taak. A to pański rekopis — taak. Widzi pan może to i dobre, ale nie teraz. Może to z czasem będzie poplacać. W wydaniu pośmiertnym — taak.

— Jakto, proszę pana redaktora?

— Ano tak, że wybiega pan po za ramy i zadania literatury ojczystej doby najnowszej. Kto tak dziś pisze? „Elzewir" — szkic fantazyjno-historyczny — rytmiczna proza. Mój panie, albo pan pisze utwór fantazyjny, wtedy pan tam sobie tego — różne fantazje, albo historyczny, a wtedy trzeba się trzymać zakresu historji, dawać postacie ulubione, popularne, o — książę Józio, Kordecki, Zagłoba, Napoleon — taak. A to, co pan napisał, na nic! To jest panie za oryginalne — o pojmuje pan: *za oryginalne*. Przytem ta „rytmiczna proza" — Czy to rzecz „modern"? Nie. A szkoda, bo pan ma talent. O, naprz. to wyrażenie: „po błękicie nieba sunęły białe chmurki", wcale, wcale udatne; albo o, to: „usta twe są jak cudna pąsowa róża, jak ten maj," — zupełnie dobre, bardzo *artystyczne*. Ot rymy gdzieniegdzie doskonałe: „wargi" i „skargi", „róże" i „na lazurze". Ma pan talent stanowczo, tylko mniej oryginalności panie, spróbuj pan pisać jak ludzie. Żegnam.

Podobne ważkie uwagi redaktora i fakt szalonego rozwoju czytelnictwa w dobie ostatniej (dowodem wzrastająca frekwencja abonentów w wypożyczalni książek), poddały mi pewną myśl.

Począłem zbierać i segregować tematy, które „szły" i „obrobienia artystyczne" i po roku pracy założyłem: ***Kantor streczenia tematów, sprzedaż rymów i figur do utworów literackich i dramatycznych za gotówkę i na raty.***

I — rzecz nie do wiary. Zwyciężyłem los! odwróciła się karta.

Interes prosperuje świetnie. Już po miesiącu musiałem przyjąć do pomocy subjekta, obecnie ich jest czterech, dwóch chłopców, buchalter, kasjerka, woźny i ledwie sobie radę dać mogą. Ja zajmuje się tylko nadzorem i, zgodnie z zasadniczą cechą mego charakteru, obserwacją.

Myślę zresztą o założeniu całej sieci filji.

Codzień od samego rana ruch w interesie, aż miło.

O tej porze roi się od poetów kurjerkowych.

— Proszę o ładne rymy do erotyku i o tytuł porządny.

— Służę panu dobrodziejowi, oto parę kom-

go, Myśli o Doczesności literatury polskiej przez J. A. Herbaczewskiego (dziwna mangha: złote liście spostrzeżeń i refleksji w grochu z kapustą), „Stracone Zachody" przez J. Wl. Dawida, trafne uwagi o „Pomniku Kościuszki" przez Edwarda Hoszowskiego i „Wystawa sztuki Kościelnej" przez tegoż, Pochód królów do Koła Polskiego" przez J. Zarycza, „Probierz teatralny Legionu" przez tegoż, wreszcie „Z mównicy publicznej", mjaki wiersz satyryczny (coś jakby à la Rideamus) przez Lenczota i zupełnie, mówiąc po warszawsku, *pomylone* „Aforyzmy Zacofańca" przez K. B. w rodzaju: „Rodziną Połanieckich" Stefana Żeromskiego są „Dzieje grzechu" (żeby było trudniej zgadnąć? nie prawdaż?)

Chińszczyzna i postęp

Na całej olbrzymiej przestrzeni Chin za lat kilkanaście mknąc po równych szosach samojazdem, albo przez lustrzane szyby *sleeping'u*, będzie mógł biały podróżnik oglądać dobrze uprawne pola, szczelnie zabudowane miasta, hotele, bary, kinemy i *scating-rinki*, zapchane tłumem gentlemanów w tużurkach, smokingach i melonikach na żółtej głowie. Gdyby jednak pierś wezbrała mu pychą na widok tak zawrotnych tryumfów cywilizacji na dalekim Wschodzie, w krainie smoków, pagód i porcelany — niechże w powrotnej do Europy drodze obejrzy sobie dworzec kowelski w Warszawie lub wybierze się na spacer po przyległej dzielnicy. Wschód, którego nie znalazł w Pekinie, objawi mu się nagle bijącym w oczy i nozdrza kolorytem. Zamiast poprawnych żółtych gentlemanów ujrzy tysiące egzotycznych postaci w chałatach zupełnie swoistego kroju, który zuchwale urąga wszystkim współczesnym modom; i wówczas pycha spadnie mu z serca; i przyzna w pokorze, że cała potęga cywilizacji New-Jorku i Paryża, zdolna przebić potworną moc chińskiego muru — cofa się tu bezsilnie od konserwatyzmu, twardszego, niż granit.

Jeśli zaś jest w dodatku filozofem i lubi głębokie dociekania — niechże sobie zada trud zbadania dziwnej psychiki warszawskich Nalewek, które, nagwałt odziewając Chiny w czapki i surduty same rozstać się nie chcą, nie mogą z tradycyjnym chałatem, którego długie poły powiewają na naszych ulicach, niby drażniący, obcy sztandar, skąpany w mrocznych barwach średniowiecza.

I rzecz szczególna: nasza, na bruku warszawskim spotykana chińszczyzna, żadnych zasług za sobą nie mając, reprezentując jedynie mrok, brud zaniedbanie i upór — niezwykłą, niepokonaną zdradza żywotność. Tymczasem tam, na brzegach Pacyfiku, ginie prastara kultura, od której świat współczesny niejeden gotowy wzór przyjąć powinien. Wszakże to w Chinach istniał od niepamię-

pletów, naprz. Nr. 24: „róże", „twe oczęta duże", „wina złote krużę", „ramiona oploty", „sen złoty", „nieb namioty". A w tym pudełeczku tytuliki do wyboru: „O, ty...", „luba, twój wdzięk", „Jak ta Wenera"...

— Nie, nie panie. Ja potrzebuje coś bardziej buduarowego a namiętnego. Tytuły nieźle, tylko ...

— W tej chwileczce, zaraz, piorunem. Mały pudło z sekcji B — rząd III. Oto, Nr. 42: „krwawy abażur", „na łonie ażur", „ust krwawa plama", „szczęścia brama", „rozkoszy gama", „ach! ten żar", „czarów czar".

— Dobre. Proszę zawinąć i należność zapisać na mój rachunek.

— Mój panie, komplet tragicznych rymów.

— Służę, już są, oto numerek 15: „smętne cyprysy", „sine irysy", „grób", „trup", „strup", „czerń jesienna", „mąk Gehenna", „ból", „wśród pustych pól", „ja — król", „martwica", „bladości".

— Dziękuje. Proszę odesłać do domu. Adres pan zna.

Najwięcej tych panów bywa przed świętami: na Trzy Króle, przed Bożem Ciałem, Zaduszkami, Nowym Rokiem,—a już przy Wielkiej Nocy, Zielonych Świątkach lub przed Bożem Narodzeniem wprost zatrzęsienie.

— Proszę troszkę rymów takich, od różnych świąt.

— Służę, tu od numerku 50 do numerku 90 komplety wigilijno-gwiazdkowe, tu na Kazimierza, tu na Stanisława. „A może na Gromniczną?—śliczny komplecik — z nastrojem: „noc przeczysta", „gwieździsta", „śnieżyca", „wilczyca".

— Co jest? Jakto „wilczyca"?.

— Szanowny pan dobrodziej nie wie? Na „Gromniczną" — więc wilki...

— Jakto nie wie? Ja tylko zapomniałem, bo ja jestem trochę... ewangielik. Ja kupuję ten komplet. Co ja płacę?

— O ile szanowny pan weźmie 2 kompleciki, dodamy jako premjum komplecik częstochowski.

— Te, co teraz nie „idą"? Dziękuję. Niemniejszym tłumem prą na wiosnę.

— Wiersz wiosenny.

— Proszę o kilkoro wiośnianych rymów.

— Panie, coś majowego.

— Służę, proszę, w tej sekundzie: „wiosna", „radosna", „śpiew słowika", „pierś przenika", „jaśminy", „ust karminy", „słońca tchnienie", „rozmarzenie", „pachną bzy", „ach! ty—ty!", „maj", „raj", „gaj", „Abrakadabra", „kandelabra". — oh! przepraszam, to rym z kompletów mistyczno-magowych, wpadł przez pomyłkę — przy takim ruchu w interesie — więc?

— Zapakować, odesłać — 2 komplety — 3 komplety.

Słowem, powodzenie olbrzymie, acz zasłużone. Z rozmów z kundmanami wiem, iż żaden jeszcze wiersz z moimi kompletami rymów nie był zwrócony autorowi.

Niemniejszy też popyt na tematy do nowelek, acz tu przeważa klijentela z tygodników.

— Proszę o temat do noweli, tak na 150 — 160 wierszy.

— Możemy służyć, acz pozwolę sobie zwrócić uwagę szanownego pana, że właściwe nowele liczymy dopiero od 250 wierszy wwyż. Na długość 150 wierszyków najodpowiedniejsza będzie impresja. Mamy śliczny wybór: krajobrazowe, psychologiczne, muzyczne..

— Proszę pokazać.

— Służę szanownemu panu. Oto naprz. literka D, doskonała impresja muzyczna. Tytulik „Fis-dur". Nokturn Szopena i opis przyrody swojskiej w nocy: staw, księżyc, ajery, tęsknica, impresyjka muzyczno-krajowidokowa. A może...

— Zawiń pan co jest, niemam czasu wybierać, dziś przed trzecią rzecz musi być w druku.

W tym roku najwięcej idą nowele napoleońskie. Sprzedałem już ze trzystu Napoleonów, parę

---

tnych czasów zwyczaj placenia honorarjów lekarskich nie za leczenie choroby, lecz za jej unikanie: lekarz więc chiński pobierał stałą, niewielką kwotę corocznie od swoich pacjentów, cieszących się zdrowiem, a gdy który zaniemógł, — leczył go bezpłatnie, z łatwo zrozumiałym pośpiechem siląc się przywrócić mu cenne dla siebie zdrowie. Jakże by nam przydał się ten szacowny chiński obyczaj!

Rzeczpospolita Środka popełniła nadto błąd nie do darowania kasując urząd *ministra pokoju* by go zastąpić przez importowane z Zachodu złowrogie i kosztowne ministerjum wojny. Jasny, logiczny i praktyczny genjusz Chin uległ w tej mierze wadliwym naszym zwyczajom, które zamiast racjonalnej ochrony pokoju stawiają na czele narodów kosztowne instytuty wojny, trzymanej na wodzy li tylko rozmiarami domniemanych klęsk i spustoszeń.

(Orjon).

Spowiedź.

Po trzydniowych rekolekcjach młodzież, według regulaminu szkolnego, dąży do spowiedzi. Ten uroczysty akt odbywa się zwykle pod wieczór w jednym z kościołów staromiejskich. Świątynia pogrążona w półmroku zapełnia się powoli; chłopcy szepczą między sobą jeszcze na moment przed wyznaniem grzechów. Wreszcie pod dozorem „wychowawców" ustawiają się szeregami wzdłuż konfesjonałów — czekają w skupieniu na swą kolej. Panowie wychowawcy czują się źle i nieswojo: jeden z nich jest przyrodnikiem, a każde jego słowo wygłoszone w uczelni bije taranem w mury, poza którymi ukrył się dogmat wiary; — inny znów — zapalony klasyk, wielbiciel potęgi Rzymu i Grecji lekceważący chrześcijaństwo — trzeci wreszcie wykłada logikę i uczy przestrzegać ścisłości w myśleniu.. — Tutaj wszyscy trzej w zgodnym ordynku muszą pędzić młodzież do konfesjonału...

— Do którego idziesz księdza?

— Do tego łysego — podobno dobry!

— E, gdzie, lepiej chodź do prefekta...

— Tak, żeby się potym ciągle na mnie gapił...

Uczniowie niższych klas długo nie mogą się zdecydować. Wreszcie sprawę rozstrzyga mamusia lub tatuś.

— Pójdziesz oto do tego księdza, a pamiętaj, nie myl się i mów: *ojcze duchowny*...

Chłopiec pobiegł, przytulił się do kratki — długo i żarliwie opowiadał poszufladkowane według przykazań „uczynki" swoje z ostatniego roku — Skoro odszedł po „dodatkowych pytaniach" księdza uszy mu pałały, twarz była oblana rumieńcem, oczy błądziły niewyraźnie, unikając wzroku ludzkiego.

Ta i owa matka się cieszy:

tysięcy ułanów, masę potyczek, biwaków i krzyżów legji honorowej.

— Mój panie, trochę figur do noweli napoleońskiej.

— Służę, proszę. Oto Napoleon i piramidy, Napoleon i Sułkowski...

— Ależ to Poniatowski.

— Sułkowski — Sułkowski, tylko się trochę zakurzył. Mały, oczyść. O! — ah, przepraszam, to istotnie Poniatowski. Pomieszali się w szufladzie. Choć, proszę pana, oni tacy podobni: i jeden bohater i drugi bohater. A może Napoleon i grenadjer, tytulik: „Naprzód, wiara!"

— Hm. Daj pan Poniatowskiego i ułana. Co ja płacę?

— Poniatowski — trzy rubelki, ułan — rubelka. O ileby szanowny pan wziął paru ułanów,— odstąpimy rabat.

— To wal pan szwadron. Dziękuję, do widzenia.

W lecie główny kontyngens klijenteli stanowią humoryści

— Daj no pan coś do humorystycznego kawału albo wiersza.

— Proszę, proszę. Oto słomiany wdowiec — bardzo aktualne, a oto enfant terrible, albo teściowa — zawsze dobra, a może Wiluś...

— Thi — wiesz pan — możeby coś bardziej ogólnego.

— Owszem: bruk warszawski, telefony, tramwaje, kanalizacje, rzeźnia centralna, trzeci most, a może intendent, taniej odstąpimy, — resztka.

— Wiesz pan co,— spakuj pan wszystko do kupy. Psiakrew! ogórki, a numer czeka.

Najkapryśniejsi kundmani — to dramaturdzy. Co się taki gość nakaprysi, nawybrzeda, a to mu za oryginalne, a tamto zamało „artystyczne", a „tego krytyka nie lubi", a „tamto publiki nie bierze". I przychodzi z dziesięć razy, nim się wreszcie zdecyduje na wybór towaru.

— Potrzeba mi figur do dramatu. Tak jakieś cztery, pięć ról głównych i parę epizodów.

— W jakim typie dramacik?

— Zaraz, panie, zaraz, — to się okaże. Daj mi pan przedewszystkim kobietę w zakresie ról p. Wyciorkowskiej (wie pan, tej z dramatu), więc: lat tak zaraz po trzydziestce, ładne tualety, żeby była dobra w sytuacji in flagranti, miała pieprz... rozumie pan, — potym potrzebny mi jegomość starszy nieco i drugi młodszy...

— Szanowny pan doskonale zna gust naszej publiczności. Mały! przynieś trójkąty małżeńskie. A może czworoboki? posiadamy wiele odmian: jedna dama i trzech panów, dwie damy i dwóch panów, jeden pan i trzy damy...

— Hm... a czterech panów samych?

— Policja nie pozwala trzymać na składzie, ani czterech panów, ani czterech pań

— Hm. A konekty jakie macie. Do trójkątów naprzykład?

— Świetne. Ona chce, — on nie; on chce,— ona nie; oboje chcą, — a mąż nie; mąż chce, on chce, — ona nie; mąż chce, ona chce, — on nie...

— Hm... to ja się namyślę, przyjdę jutro. — Od drzwi wraca. — A do historycznych dramatów macie co?

— Ależ naturalnie, ale nie radziłbym. To już dość wybrakowany towar, nawet nie umiałbym panu powiedzieć, co jest, bo to leży w piwnicy. Przytem w ostatnich czasach do pudel zakradła się wilgoć, figurki rozmiękły tak, że najwyżej można z tego sklecić jakąś kronikę historyczną.

— No, dobrze, to ja wpadnę tu jutro obejrzeć trójkąty.

I „wpada" z dziesięć razy, nim nareszcie co wybierze.

Najlepsi kundmani — to powieściopisarze. Biorą co się da, byle starczyło na tom lub dwa. Przed rokiem jeszcze najwięcej żądali rewolucjonistów, prowokatorów, bomb. Teraz już nie. Kilka figur głównych, kilkanaście podrzędnych, parę opisów, fabuła byle tańsza i już. Tylko do powieści historycznej dokupują zawsze parę fun-

— Oto, jakie spowiedź zrobiła na nim wrażenie: teraz napewno poprawi się i będzie lepszy, pilniejszy.

A po głowie chłopca błąkają się natarczywe pytania księdza — drastyczne posądzenia, przebiegła indagacja.

Starszych uczniów jest znacznie mniej. Przyszli tutaj nieliczni głęboko wierzący, a pozatym „wyższe warstwy" pędzone przez katolickich rodziców.

Ci pierwsi upodobniają się tutaj, przy konfesjonale do niewinnych dzieci — na drugich natomiast, latoroślach arystokracji — spowiedź nie czyni najmniejszego wrażenia: są jakby na długim i nudnym, ceremonjalnym przyjęciu.. Spowiadają się prędko i obojętnie, jakby z jedną tylko myślą: czy aby zdążą do cyrku lub na operetkę...

Kościół wyludnia się powoli. Jutro znów powrócą tutaj te same rzesze; chłopcy znów podążą do „poprawek", znów będą spowiadali się z tych grzechów, których przyczyną stał się być może wczorajszy spowiednik.

Nazajutrz jest niedziela. Młodzież przystępuje do komunji, powraca do domów i jako w dzień wielkiego szczęścia — podwójną dostaje porcję ciastek...

Właściwy jednakże dramat rozpoczyna się dopiero w poniedziałek — na najbliższych lekcjach religji...

Witebscy pogromcy Prawdy.

Istnieje w sławetnym grodzie Witebsku rzymsko-katolickie tow. dobroczynności, które tytułem łaski, obok wydawnictw Watykanu, dopuszcza do swej bibljoteki również niektóre polskie publikacje. Tym więc sposobem na stołach czytelni znalazła się tam i *Prawda*, chętnie wyróżniana i czytywana pilnie zwłaszcza przez młodzież.

Kłuło to w oczy miejscowych kalchasów, którzy wszechwładne w T-wie sprawują rządy. Za ich więc namową na walnym zebraniu, po wielce burzliwych rozprawach, zapadła decyzja, by *Prawdę* z czytelni wyłączyć i czeladkę bożą w Witebsku w ten sposób od pokus i zgorszeń uchronić.

To nam powinno przypomnieć, że kresy t. zw. polskie są często li tylko rzymską, kresową prowincją, gdzie karne szeregi tonsurowanych urzędników czuwają pilnie, by polskość podrzędną grała rolę kopciuszka i w niczym nie przeciwiła się urzędowym, papieskim intencjom.

Nie sprzeciwią się im napewno świętobliwi i potulni notable starożytnego grodu, który w dziejach umysłowości polskiej nigdy pono zaszczytnej nie grał roli, jak świadczy znane pana Zagłoby przysłowie:

> Jakaś głowa kiepska —
> to pewnie z Witebska.

tów archaizmów, choćby sfałszowanych. Dobry kundman.

Przed paru dniami było u mnie kilku panów z wysokiej finansjery z propozycją utworzenia towarzystwa akcyjnego z kapitałem dwóch miljonów rubli dla rozszerzenia interesu o tyle, by produkować wszystkie możliwe tematy i obrobienia przy uzyskanym na nie uprzednio patencie. W ten sposób żaden literat polski nie będzie w stanie napisać jednego zdania, nie kupiwszy od nas tematu i obrobienia.

Zgodziłem się na powyższą propozycję i obecnie właściwe zabiegi są w toku.

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

XIV.

O usposobieniu, w jakim pisał Krasiński swoją „Nieboską komedję", dają wyborne pojęcie listy do przyjaciela poety—anglika Reeve'a. W jednym z listów donosi poeta swemu przyjacielowi, że pisze poemat, który ma być obroną tego „na co się targa wielu hołyszów: religji i chwały przeszłości". W tym to właśnie czasie miał poeta rozmowę w Ferney, w pobliżu Genewy—w karczmie, dokąd zaszedł, aby oczyścić fajkę. Rozmawiał z młodą dziewczyną, o której pisze, że była przedstawicielem ludu „z oczami młodej dziewczyny, a sercem tygrysiem". Było to wkrótce po rozruchach robotniczych w Lyonie.

— Dobrze zrobili robotnicy, mój panie — zawołała czarna (dziewczyna), wykręcając ścierkę w ręku, jakby kręciła kark dziecku — oni chcą równości. Już oddawna przyrzekają nam równość w niebie; niechże się wprzód na ziemi rozpocznie.

— Nie będzie równości w niebie — odparłem — tylko pod warunkiem nierówności na ziemi, a mówię wam, że wszyscy wy nie pragniecie równości, ale owszem tyranji.

Kiedy w r. 1832 panowała w Londynie cholera, Krasiński przypuszczał, iż biedacy, rozsrożeni tym, że bogacze leczą się w dostatku, a biedni nie mają za co, — rzucą się na majętnych, zaczną palić i mordować. W tym przewidywaniu tak w liście do Reeve'a upominał biedaków: „Gdybyście byli chrześcjanami, umarlibyście w milczeniu". A dalej:

„Biedacy nie mają szczęścia, bo Jezus Chrystus wybrał ich za swój lud, ale oni nie umieją czekać na króla swego... Za kawałek mięsa, za puhar wina, za sztukę złota zrzekną się dziedzictwa Niebios".

XV.

Krasiński jest jednym z tych poetów, którzy sprawiają niespodzianki zastanawiające. Irydjon mężny, bolesny, ofiarny... Hr. Henryk, który nie chce spać snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce... Postaci, które poeta otacza łudzącą, zwodniczą aureolą... Nagle tęcza uwielbienia nad ich głowami pryska i stają dwaj grzesznicy. Jeden omal nie potępiony za swój sen o zwycięztwie nad wrogiem, na drugiego zaś spadają głazy kary w postaci obłąkania i śmierci Żony... Grunt urywa się nagle... Okazuje się, że droga, którą idą, jest drogą do piekła.

Wtedy — w epoce Irydjona i Nieboskiej — ideał szczęścia ziemsko-świeckiego nęcił jeszcze Krasińskiego. Lecz już wtedy stanął on po stronie *grzechu*, jako jedynego potworu, któremu trzeba oddać swój talent, aby go — to jest grzech — zdławić i przezwyciężyć. Odtąd Krasiński już coraz lepiej czuł i słyszał za sobą to, co słyszeli ludzie średniowieczni: piekło i wycie szatanów.

XVI.

Mówi się o twórcy romantycznej oczywiście z tą myślą, że trzej wielcy poeci wzajemnie się wspierają i uzupełniają. Lecz w istocie między np. Słowackim a Krasińskim są różnice tak wyraźne i zasadnicze, że raczej mowa być może o głębokim nieprzejednanym antagonizmie, niż zgodzie. W Słowackim, gdy pisał, rodziły się rzeczy nieoczekiwane, wyłaniały się całe barwiste archipelagi, które nieraz — skutkiem młodzieńczej rozrzutności i nieopatrzności tego poety, zapadały się znów i nazawsze. Rzuca on pomysły jakby pod budowę nowej duszy wszechludzko-polskiej. Pomimo zewnętrznie melancholijnej treści raz po raz wyczuwa się w Słowackim głęboki podziemny nurt radości, jaka towarzyszy wszelkiemu zakwitaniu i stawaniu się.

W Krasińskim poezja nie otwierała nigdy nowych kraterów i nigdy nic nowego nie wyłaniała. Wiedział on raz na zawsze, czego chce i nigdy nie zbaczał ze swej drogi, bo na tej drodze nigdy nie dźwigała się nagle góra, nieoznaczona na mapie. Podzielił on impulsy ludzkie na dobre i złe. Złe skazał na wymarcie, dobre na tuczenie się. W ten sposób rozwiązał kwestję przyszłości i określił charakter czynu. Czynem jest przezwyciężenie złych skłonności w skupieniu, w pokorze, w ofiarności, a przez to już rozpromienienie w sobie dobra. Jeżeli wyobrazimy sobie obszerną piwnicę, a w niej szereg butelek z winem, które stoją na pozór bezczynnie, lecz w istocie *czynią*— bo przez skupienie się, nieruchomość, wyczekiwanie i trwanie przezwyciężają w sobie cierpkość i nabierają szlachetniejszego smaku, aż przyjdzie piwniczy, spróbuje i powie: Coraz lepsze! — to będziemy mieli niejakie pojęcie o świecie, człowieku i bóstwie Zygmunta Krasińskiego. Poezja jego jest solenna i mroczna. Nigdy nie dręczyły go wątpliwości co do dwu rzeczy: Czy słusznie podzielił skłonności na złe i dobre... i czy ludzkość leczona tak radykalnym środkiem, jak zatamowanie przynajmniej połowy skłonności, nie ponastwarza zamiast dobrych świętych dobrych—aktorów i akrobatów moralnych.

Heroizm Krasińskiego to heroizm zupełnej

pewności i wiary w to, że świat już jest stworzony, podczas gdy Słowacki w daleko wyższym stopniu był twórcą świata, jednym z budowniczych, którzy nie bacząc na pracę przeszłości, podejmują trud stwarzania na nowo człowieka i Boga.

Te dwie sprzeczne natury osądziły siebie bardzo surowo. Słowacki rzekł o Krasińskim:

Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu..

to jest w żywot o tyle mniej bujny i energiczny, o ile kradzione światło księżycowe jest mniej bujne i energiczne od światła słonecznego...

A Krasiński o Słowackim:

Z was się każden nad odłogiem
Własnej próżni wspina Bogiem
Na paluszkach wzdętej pychy...

Są to wynurzenia, które rozdzielają na zawsze. W istocie Krasiński nie dowierza żadnemu impulsowi samorodnemu, żadnemu stawaniu się... Każdemu popędowi zagląda głęboko a podejrzliwie w oczy, widzi w nich przyczajony grzech i skręca mu szyję. Jest on w tym względzie prawdziwym niszczycielem.

Leon Choromański.

Per aspera ad astra!

„POCHÓD NA WAWELU" W POCHODZIE NA WAWEL.

Jeszcze widać nie tak źle na tym najlepszym ze światów, skoro wielka i tak zdawało się dobrze reklamowana, afera „Pochodu na Wawelu" zaczyna napotykać protesty co do swego pochodu na Wawel. Jeszcze widać nie wszystkie umysły w Polsce można odurzyć malowanym ułanem, złym wierszem o dobrym księciu Pepi, lub konterfektami królów, choćby nawet potraktowanymi możliwie „popularnie". Bo oto z kilku naraz miejsc podnoszą się głosy krytyków i artystów, mniej lub więcej spokojnie rozpatrujące dzieło Szymanowskiego i stawiające mu zarzuty bardzo poważne, zarzuty, które możnaby ująć w tezy następujące.

1-o „Pochód na Wawelu", jako klamrowe spięcie dziedzińca zamkowego, z architektonicznego punktu widzenia, nie wytrzymuje krytyki.

2-o. Sam „Pochód", jako dzieło sztuki, posiada bardzo zasadnicze wady, tak w pomyśle jak i wykonaniu.

Co do punktu pierwszego p. Stanisław Pieńkowski (*Głos Warszawski* Nr. 68 z dn. 10 b. m.) mówi, co następuje: „Pochód" — jestto całkiem naturalistycznie pomyślana grupa ludzi, a jako taka, w rzeźbie pełnej, mającej po trzy i cztery postacie w głąb' z natury rzeczy nie może posiadać ani stylu ani architektury... więc: pomysł *musiał* być chybionym bez względu na artystę, choćby nim był genjusz nad genjuszami... rzeźba więc nie architektoniczna... zaszpeci tylko nasz zamek". Zarówno oponuje przeciw ustawieniu „Pochodu" na Wawelu dr. T. Szydłowski w swej broszurze „O Pochodzie Wawelskim" (Kraków, G. Gebethner i S-ka — 1912): w kształcie (Pochodu) widoczne jest odrazu zasadnicze pogwałcenie utrzymania w całości charakteru Wawelskiego dworca. „Pochód" zmienia zasadniczo całą konfigurację zamkniętego dotychczas rozległego wnętrza a wprowadzając tłum figur niszczy nastrój ciszy, spokoju i powagi architektury, niweczy właściwy urok dziedzińca... czyni sobie zeń oprawę... a tym samym kaleczy wielkie arcydzieło sztuki.. byłby jego zniekształceniem i nie dałby odpowiedniego rozwiązania dla zewnętrznej strony zamku". „Pochód" jako spójnia nierozerwalna z całością, rozumuje J. Siem. (*Tygodnik Polski* Nr. 5 z dn. 5 b. m.) „jako część zamku wawelskiego, jako nieodparty składnik ogólnego wrażenia dziedzińca zamkowego byłby dysonansem".

Nie przesądzając jednak kwestji uświetnienia Wawelu „Pochodem" (u nas to wszystko jest możliwe), niemniej ostro brzmią głosy krytyki o wytworze Szymanowskiego, jako o dziele sztuki.

Więc, co do pomysłu samego. „Czy wolno z punktu widzenia smaku i logiki traktować królów polskich jako gromadę?" pyta p. J. Zarycz (*Rydwan* Nr. 1 styczeń 1912 r.) „czy na Wawelu, gdzie już królowie są, dawać ich sobowtóry? czy pochód z mocarzów i pomazańców godzi się oddawać pod komendę choćby dziewczyny z zawiązanymi oczyma bawiącej się w ciuciubabkę?"

Pomińmy już dowolność w wyborze królów przez p. Szymanowskiego (brak, powiedzmy, Łokietka i bodaj Kazimierza Jagiellończyka), pomińmy „nieprzychylne" głosy fachowej krytyki wiedeńskiej (wiadomo, Niemcy). Co do punktu ostatniego, t. j. urzeczywistnienia pomysłu, strony czysto rzeźbiarskiej, zarzuty krytyki brzmią najostrzej.

P. E. Niewiadomski (*Tygodnik Polski* Nr. 5 z dn. 15 b. m.) wogóle kwestjonuje sam fakt twórczości Szymanowskiego; „jego sztuka nie płynie z instynktów twórczych własnej istoty, ale była i jest refleksem twórczości innych (Bastien-Lepage'a Meunier'a, Rodin'a, Carrier'a, Bocklina)". Tenże krytyk nazywa „Pochód" szkicem malarskim, ale nie jasno domówioną formą rzeźbiarską... masą nietylko bez kształtu, ale i bez stylu, kończy wreszcie: „Szymanowski nie czuje materjału, w którym ma być rzecz wykonana... „Pochód" powiększony stanie się płodem poronionym, pretensjonalnym w skali i idei, a beztreściwym w sercu i formie".

Dr. J. Szydłowski konkluduje w tym względzie: „Pochód" jest poczęty w większej mierze z literackiej fantazji i patrjotycznego uczucia, niż z natchnienia rzeźbiarza.

W ogólnym wyniku dzieło p. Szymanowskiego nie odpowiada trzem elementarnym zasadom sztuki pomnikowej: jest niearchitektoniczne, nierzeźbiarskie i niekompozycyjne (St. Pieńkowski, *Głos Warszawski* Nr. 6 z dn. 10 b. m).

Przestaje więc być dziwne, wobec powyższych głosów, gorączkowanie różnych entuzjastów z odlewaniem w bronzie „dzieła" promowanego przez artystyczne jury Koła Polskiego w Wiedniu na „arcydzieło", przestaje być dziwne formowanie na łeb na szyję komitetu budowy „Pochodu" z „najlepszych w narodzie", a nawet zawiadomienie nie dziwią po pismach, jako że otworzono już w którymś z galicyjskich banków konto na składki narodowe. Spieszcie się, panowie, spieszcie. bo z dniem każdym więcej głosów powstaje przeciw „arcydziełu", więc nietylko społeczeństwo, ale i wy sami gotowiście się jeszcze rozmyśleć.

Marchołt.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** *Chłop i Biskup.* Dwie nierówne moce, na całej niemal przestrzeni ziem polskich, stanęły do boju: od wyniku walki zależeć będzie przyszłość naszego kraju.

Z jednej strony, wsparta na kamiennym konserwatyzmie przeciętnej naszej opinji, walczy potężna kasta duszpasterzy, władnących niemal całym życiem duchowym ludu naszego od kolebki aż do grobu; z drugiej — młody, wczoraj zaledwie sformowany, hufiec „zaraniarzy", tropionych zewsząd argusowym okiem niechęci i potwarzy. I oto, mimo tak bijącej w oczy nierówności — zwycięża strona słabsza, zwycięża postęp chłopski!.. Dzień każdy daje nam nowe, niezbite dowody jego przewagi, która jest przedewszystkiem tryumfem moralnym: hartowny duch młodej, świeckiej kultury obywatelskiej „zaraniarzy", jak taran stalowy kruszy gliniane biskupów naszych autorytety... Dość przecież zestawić bezduszny, zawiły, z uczuć ludzkich doszczętnie wyzuty ton odezw kościelnych z tym oto pełnym wewnętrznego ognia niczym niezmożonej wiary głosem jednego z wybitnych włościan, Mateusza Manterysa, który w *Zaraniu* (Nr. 9) taką daje biskupowi Łosińskiemu odprawę:

> Dnia 28 stycznia r. b., jak grom z jasnego nieba, spadł na nas dekret, mocą którego Biskup, ustami księży, wyklina z łączności katolickiego Kościoła, aż czterech „heretyków"; wymienia ich z imienia i nazwiska: Mateusza Manterysa z Pojułowic, Józefa Rączkowskiego i Jacentego Miszczyka z Niegardowa oraz St. Rzymskiego z pod Książa, ci bowiem ośmielili się powiedzieć Biskupowi, że są ludźmi i chłopami.
>
> Wasza Ekscelencjo! czy wydając swe słynne dekrety, listy, wyklęcia wspomniałeś choćby przez chwilkę na słowa mędrca: „patrzaj w serce"? Niestety w Twoich listach i wyrocznych dekretach trudno się dopatrzeć tego wzniosłego przewodnika sprawiedliwości.
>
> My, chłopi patrzymy w serce Twoje i całego kleru, ale patrzymy i w serca własne, swoje. I dlatego śmiało głosimy, że całe to Wasze, do Boga wołające prześladowanie nas chłopów, ani na chwilę nie wytrąci nas z równowagi... Tu zawód Cię czeka, Przewielebny Biskupie — zawód, jeżeli naprawdę sądzisz, że prześladujące nas Twoje listy pasterskie, dekrety i wyklęcia zachwieją naszą wiarę w słuszność świętej sprawy odradzającego się Ludu Narodu.
>
> Wspominasz nam, Wasza Ekscelencja, na każdym niemal kroku o jakimś postępie i o Ojczyźnie. Wzniosła to rzecz i piękna, ale od klerykalnego niby postępu, Panie! wybaw lud polski.
>
> A co do Ojczyzny, to sądzisz nas, lecz nie „patrzysz w serca", a historja nasza mówi tak: „lud wszędzie należał prócz zysku i zdrady". Przed wiekami odebraliście z rąk ludu dzierżenie kraju, któremu było na imię Polska, a obecnie oddajecie ludowi puściznę, której na imię Kalwarja — to owoc Waszego życia i czynów Waszych.
>
> I lud taką ją bierze, ażeby ją ratować. I wiemy, że Wasza — kleru — ojczyzna było i jest w Rzymie, i jeśli Wam z nią dobrze, to się jej trzymajcie; my, lud, nie myślimy Wam w tym przeszkadzać ani zazdrościć, ale mamy prawo żądać i żądamy, iżbyście nareszcie tę naszą ludową Kalwarję zostawili w spokoju — byście nam nie przeszkadzali odradzać się dla Niej..
>
> Kończę tę przykrą, lecz konieczną odpowiedź. Podkreślam z całą stanowczością, że o ile smuci nas wypowiedzenie nam, ludowi, tej bezcelowej walki, o tyle dziś dumni i szczęśliwi jesteśmy, że nam Opatrzność pozwoliła stanąć w szeregach tych, którzy rozbitą przez Was nawę ojczystą mają dźwigać i sklejać w całość i dać jej nową moc, szczęśliwiśmy, że tak ciężkie, a zaszczytne brzemię z kolei na nasze barki spada — podołamy mu, choć nam z uporu do panowania nad nami zbytecznego ciężaru przykładacie i siły tym osłabiacie i odrodzenie się ludu, dla tej siły, niezbędne, od[illegible]

Doprawdy pośród powszechnej szarzyzny uczuć, na tle sztucznie robionej powagi koryfeuszów przeciętnej naszej opinji, wśród swarliwych polemik i bezcelowych kłótni — jakże dodatnim dysonansem brzmi głos Manterysa! Ten chłop polski w odpowiedzi na gromkie biskupie *quos ego!* stanowi dla naszych kół poselskich nad Newą i Szprewą niedościgniony wzór godności i siły.

KRONIKA.

HANDEL A MY I ŻYDZI. Z zestawień ogłoszonych w *Głosie płockim* przez ks. Strojnowskiego, wynika, że na 30,681 mieszkańców Płocka chrześcijan jest 18,664, żydów 12,017. Ci ostatni, pomimo że są w mniejszości, wszystek handel trzymają w rękach. Sprzedają prawie wyłącznie galanterję, norymberszczyznę, żelazo, emalję, szkło, smary, mydło, towary łokciowe. Sklepów kolonialno-spożywczych mają w swym ręku 96, a chrześcijanie tylko 63 i sklepy ich są wogóle bogatsze. W ich hurtowniach wielu kupców chrześcijańskich musi się zaopatrywać w towar. A tymczasem żydzi w sklepach chrześcijańskich nie kupują prawie wcale: z 63 sklepów kolonialnych stałymi odbiorcami są tylko w 6. Z tych 63 otworzono 35 w ostatnich pięciu latach.

SZKOLNICTWO GALICYJSKIE. W Galicji na blizko 6,000 gmin w roku szkolnym 1911—12 tylko 136 było bez szkoły. Ogółem jest klas 14,610, w których się uczy 1,088,000 młodzieży pod kierunkiem 14,739 nauczycieli i nauczycielek. Prócz tego na naukę dopełniającą do szkół publicznych uczęszcza 174,475 uczniów.

Przygotowanie sił dla tych szkół odbywa się w 25 zakładach, zwanych seminarjami nauczycielskimi, których jest 18 państwowych a 8 prywatnych, 14 męskich a 12 żeńskich; jedne z językiem wykładowym tylko polskim, drugie z polskim i ruskim. W roku ubiegłym kształciło się w tych zakładach 4,548 kandydatów do stanu nauczycielskiego.

Z 5,408 szkół publicznych, czynnych w r. ubiegłym, w 2,920 językiem wykładowym był polski, w 2,463 ruski, a w 25 niemiecki. Dobre i bardzo dobre budynki szkolne posiadało 2,887, reszta zaś mieściła się w budynkach zaledwie odpowiednich lub zupełnie nieodpowiednich.

Koszta utrzymania szkolnictwa ludowego wyniosły ogółem w 1909 roku 28 miljonów koron, a koszta te oczywiście z każdym rokiem zwiększać się będą.

„SOKÓŁ" GALICYJSKI. Wychowaniem cielesnym społeczeństwa naszego tej dzielnicy zajmują się towarzystwa gimnastyczne, znane pod ogólną nazwą „Sokołów". Tworzą one związek, obejmujący, prócz istniejących w Galicji, wszystkie polskie, czynne na Bukowinie, na Śląsku i w Wiedniu. W r. 1911 towarzystw związko-

wych było 232 — o 16 więcej niż w roku poprzednim — z ogólną liczbą członków 28,306. Związek dzieli się na okręgi; najsilniejszy — lwowski posiada 8,114 członków. Do Krakowskiego, który liczy 5,685 członków należą i Towarzystwa śląskie. Z każdym rokiem wzrasta procent oddających się ćwiczeniom gimnastycznym, w r. 1911 wynosił on 20. Polacy pod tym względem zajmują czwarte miejsce w Europie. Młodzieży szkolnej, pobierającej naukę gimnastyki w Sokole było 27,078 chłopców i dziewcząt — tych ostatnich jednak zaledwie 4,707. Towarzystwa sokole posiadają 117 domów własnych z ćwiczebniami, 108 boisk urządzonych, a czysty ich majątek wynosi 2,687,157 koron. Na dochody Związku składają się wpłaty członkowskie i niewielka, 1000-koronowa zapomoga sejmowa. Nieznaczne zyski, pochodzące z wydawnictwa podręczników, poświęconych wychowaniu fizycznemu, obracane są na rozsyłanie tych wydawnictw Towarzystwom niezamożnym. Związek ponad to wydaje pismo zawodowe.

KONFISKATA WYDAWNICTWA. Na skutek rozporządzenia warszawskiego komitetu do spraw prasowych skonfiskowano wydawnictwo p. n. „Z duszy narodu". Wzbór poezji najlepszych autorów polskich. Ułożyły je pp. J. Pawłoska, A. Czerwińska i Wejchertówna. Wydawnictwo Arcta w Warszawie.

OFIARY.

Na szkołę w Kruszynku: Janina Krassowska z Garwolina rb. 3.

Książki nadesłane do Redakcji:

Dr. Tadeusz Szydłowski: „O Pochodzie Wawelskim" Wacława Szymanowskiego. Kraków, 1912. Odbitka z *Czasu*. Nakładem autora. Str. 28. Cena k. 40.

Horne-Wroński: „Propedeutyka mesjaniczna". Zasady filozofi absolutnej. Przekład i słowo wstępne Józefa Jankowskiego. Warszawa, 1912. Bibljoteczka hermetyczna Nr. 8. Nakładem St. Sadowskiego. Str. 41.

Georges Pellissier: „Le Réalisme du Romantisme". Paris, 1912.

A. Jeanroy: „Giosuè Carducci" L'homme et le poète. Paris, 1911.

Epiktet: „Podręcznik". Pamiętnik moralności stoickiej. Przełożył i wstępem opatrzył Józef Jankowski. Bibljoteczka hermetyczna Nr. 7. Warszawa, 1912. Nakład S. Sadowskiego, Złota 1. Str. 44.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu **XIX** stulecia **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy" wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie miesięcz. kop. [illegible], kwartał. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. [illegible]

Z przesyłką poczt. [illegible]

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie zwraca się. [illegible] nictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. [illegible] garmontowy jednoszpaltowy [illegible]

Przedpłatę przyjmują administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

[illegible]

Administracja [illegible] do 3 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Daremne żale, próżny trud! — ECHA PRAWDY: Przyczynki do naszej kultury. — Zamach na Kulturę Polską. — Meandry. — Nowe pisma. — Chińszczyzna i postęp — Spowiedź. — Witebscy pogromcy Prawdy — Dwaj ewangeliści, przez Jana Turczewskiego. — BELETRYSTYKA: Świetny interes, przez Kazimierza Wroczyńskiego.— KRYTYKA: Zygmunt Krasiński, przez Leona Choromańskiego. — Per aspera ad astra, przez Marcholta.— Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA. — Ofiary. — Książki nadesłane do redakcji. — Ogłoszenia.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11